

OD REDAKCJI

JEDEN SPOŚRÓD WIELU I... JEDYNY ZARAZEM

Zapewne każdy, kto choć trochę interesuje się dziejami nauk społecznych – a trzeba pamiętać, że od ponad stu lat nauki te w coraz większym stopniu „interesują się” każdym z nas – zetknął się z książką autorstwa Davida Riesmana oraz jego dwóch współpracowników zatytułowaną *The Lonely Crowd*. Już sam jej tytuł – „Samotny tłum” – wszedł do powszechnego użycia na określenie zjawiska zaniku głębszych międzyludzkich więzi we współczesnych społeczeństwach. Ogłoszona drukiem w USA w 1950 roku – kiedy kraje Zachodu stały na progu szybkiego wzrostu gospodarczego i towarzyszących mu przemian społeczno-kulturowych – książka Riesmana opisywała proces, który miał wkrótce wyjść poza granice Ameryki Północnej, a dziś jest nam już dobrze znany: przejście społeczeństw „wysoko rozwiniętych” od epoki produkcji do epoki konsumpcji. Riesman wskazuje na konsekwencje, jakie niesie z sobą ów proces, tworzący nowy typ społeczeństwa, które z kolei wpływa na „społeczny charakter” swoich poszczególnych członków. Opisuje przy tym, jak przejawia się to w polityce, pracy, zabawie czy sztuce. Tłumacz i autor wstępu do polskiego wydania tej książki, Jan Strzelecki, określił ją – między innymi ze względu na rozmach i bogactwo wątków – mianem socjologicznego fresku.

Punktem wyjścia rozważań Riesmana są pewne spostrzeżenia z dziedziny demografii, nauki, która – wedle słów autora – „zajmuje się proporcją i stopą narodzin i zgonów, bezwzględną i względną liczbą ludzi w społeczeństwach i ich podziałem według wieku, płci i innych zmiennych”. Otóż od czasów średnio-wieczna krzywa wzrostu ludności w społeczeństwach Zachodu ma postać litery S, w której okresy demograficznej stagnacji przeplatają się z okresami szybkiego wzrostu. Jest to oczywiście uzależnione od szeregu czynników – jak na przykład higiena życia, poziom wiedzy medycznej, odżywianie się ludności – które wpływają na proporcje między liczbą narodzin a liczbą zgonów oraz na przeciętną długość ludzkiego życia w danym czasie. W odniesieniu do tych różnych okresów Riesman – w ślad za demografami – używa takich określeń,

jak: społeczeństwo „o wysokim potencjale wzrostu” (liczba narodzin jest równie wysoka, jak liczba zgonów, wystarczy jednak by zmianie uległy niektóre uwarunkowania, aby liczba urodzin znacznie przekroczyła liczbę zgonów), okres „eksplozji ludności”, okres „przejściowego wzrostu”, a następnie „wstępnego” oraz „stałego spadku ludności”.

Według Riesmana każdej z tych faz krzywej demograficznej („krzywej S”) odpowiada określony typ społeczeństwa oraz typ „charakteru społecznego”. Wyróżnia zatem człowieka i społeczeństwo „sterowane tradycją”, następnie zaś – człowieka i społeczeństwo „wewnątrzsterowne”. Dla człowieka i społeczeństwa wysoko rozwiniętego Zachodu połowy XX wieku – okresu wstępnego spadku ludności – rezerwuje określenia: „człowiek zewnętrzny” i „społeczeństwo zewnętrzne”. W społeczeństwie tym podstawowym problemem nie jest stosunek człowieka do otaczającego go środowiska (tak było w „epoce produkcji”), ale do otaczających go ludzi. Stąd zachowanie wysoce „uspołecznione” jest tu nieodzownym warunkiem sukcesu w różnych dziedzinach życia – od małżeństwa poczynając, poprzez pracę zawodową, na polityce kończąc. Ma to oczywiście wpływ na wychowanie dzieci w rodzinie, na system edukacji, jak w ogóle na cały system przekazywania wartości i wzorców zachowań w społeczeństwie.

Przykład zaczerpnięty z książki Riesmana pokazuje, że dane demograficzne nie tylko dają nam pewien wgląd w to, ilu nas jest, ale również – przynajmniej w pewnej mierze – mogą być punktem wyjścia do uzyskania informacji o tym, jacy jesteśmy. I to nie tylko, jacy jesteśmy w aspekcie wieku, stanu społecznego, wykształcenia i innych „zewnętrznych” zmiennych, ale mogą być również pomocne w uzyskaniu informacji, czym jako społeczność się kierujemy w naszym działaniu, w co wierzymy, w czym pokładamy nadzieję. Liczby, tabele i wykresy stanowią pouczającą lekturę dla kogoś, kto potrafi właściwie je odczytać i zinterpretować. Ostatecznie bowiem, tak jak każdy rodzaj ludzkiego działania posiada wymiar podmiotowy, tak i każdy rodzaj wiedzy o człowieku – czy to indywidualnym, czy reprezentującym pewną społeczność – ów podmiotowy jego wymiar odsłania. Zazwyczaj badacz – obok rzetelnego warsztatu – potrzebuje nieco wyobraźni, intuicji, aby poprzez różne zewnętrzne dane, którymi dysponuje, ów podmiotowy wymiar dojrzeć. (Także z tego powodu Jan Strzelecki nazwał dzieło Riesmana i jego współpracowników socjologicznym freskiem – niewątpliwie łączy ono pasję poznawczą z temperamentem artystycznym). W każdym razie wybitne dzieła z dziedziny nauk społecznych potrafią tę podmiotową, a więc i dramatyczną stronę ludzkiej egzystencji odsłonić.

Taki właśnie cel – choć może to zabrzmieć nieskromnie – postawiła sobie redakcja „Ethosu”, podejmując się przygotowania numeru poświęconego problematyce *d e m o g r a f i c z n e j*. Nie chodziło nam o to, aby przedstawić wyczerpujący raport na temat sytuacji ludnościowej w świecie, czy choć-

by tylko w Polsce. Raporty takie ukazują się regularnie i są stosunkowo łatwo dostępne. Od kilku lat także prasa codzienna – dość często i w coraz bardziej alarmistycznym tonie – dostarcza informacji o ujemnym przyroście naturalnym w Polsce i o perspektywie długiej „demograficznej zimy” w naszej ojczyźnie („wstępny” to czy też już „stały” spadek liczby ludności?). Pod tym względem upodobniliśmy się do większości społeczeństw Europy Zachodniej.

Z pewnością jednak warto i wręcz należy zapytać: jakie są przyczyny – ekonomiczne, psychospołeczne, kulturowe i moralne – tego zjawiska, i jakie są jego konsekwencje? Można też zapytać inaczej, prościej: dlaczego w polskich rodzinach rodzi się coraz mniej dzieci? Zapewne niejednemu spośród naszych Czytelników zdarzyło się usłyszeć nieraz – choćby w jakiejś sąsiedzkiej rozmowie – tego rodzaju wypowiedź: „Trudno jest mieć dzieci w dzisiejszych czasach. No, najwyżej jedno”. Dlaczego trudno? Wygląda na to, że czasy, w których odeszliśmy od wielu absurdów tak zwanego realnego socjalizmu – zwłaszcza w dziedzinie gospodarczej – są dla wielu polskich rodzin pod względem materialnym, ale jeszcze bardziej pod względem psychologicznym trudniejsze. Dla wielu z nich niepewność jutra stała się chlebem powszednim. Myśl taka może się nasunąć Czytelnikowi chociażby podczas lektury zamieszczonego w niniejszym numerze artykułu I. Kowalskiej o matrymonialnych i prokreacyjnych postawach współczesnych Polaków.

Jeżeli jednak z jednej strony mamy dziś w Polsce wiele obszarów ubóstwa i wciąż rosnące bezrobocie, to z drugiej niepomiarne wzrosły aspiracje konsumpcyjne Polaków (zob. artykuł ks. J. Mariańskiego). Przedmioty, które jeszcze nie tak dawno w raportach ekonomiczno-społecznych kwalifikowano jako „lukusowe”, dziś traktowane są jako dobra „codziennego użytku”. Również i ten apetyt – aby to, co do niedawna było lukusem, stało się jak najszybciej dostępne – zapewne wpłynął na to, iż jest nas obecnie mniej.

W skali globalnej wiek XX był okresem gwałtownego wzrostu liczby ludności. J. Kłys w publikowanym na tych łamach artykule podaje, iż w roku 1900 liczba mieszkańców Ziemi wynosiła 1 650 milionów osób. W sto lat później przekroczyła już sześć miliardów. Wielokrotnie pisano w minionym stuleciu o groźbie przeludnienia, o demograficznej eksplozji. Czy te prognozy były wyrazem rzetelnej wiedzy, czy raczej antynatalistycznej ideologii – to już inna sprawa. Zwróćmy tu uwagę na coś innego.

Otóż dla wielu współczesnych ludzi (a odnosi się to zarówno do społeczeństw, w których – jak w Polsce i w Europie – stopa narodzin systematycznie spada, jak i do tych, w których odnotowujemy dynamiczny wzrost) życie ludzkie, każde konkretne istnienie, stało się – wedle sformułowania przywołanego wyżej autora – „kłopotliwym darem”. Może nawet w ogóle nie jest traktowane jako dar?

Jednak elementarne doświadczenie każdego z nas mówi o tym, że faktu istnienia człowieka nie da się adekwatnie zrozumieć i wyjaśnić inaczej niż –

ostatecznie – jako *d a r*, ponieważ to, że jestem, nie ma dostatecznego uzasadnienia w tym, kim jestem. Jestem, ponieważ zostałem samemu sobie podarowany. Dlatego *ż y c i e* moje – i każdego drugiego obok mnie – jest *w a r t o ś c i ą* *n i e r o z p o r z ą d z a l n ą*.

Potrzebny jest zatem ogromny wysiłek, aby *p r z y w r ó c i ć* *t ę ś w i a d o m o ś ć* *d a r u*. Wysiłek ten winien się wyrazić zarówno w duszpasterkiej, formującej sumienia pracy Kościoła, jak i w społeczności cywilnej: w edukacji, prawodawstwie, polityce gospodarczej i społecznej. Szczególnie pilnym zadaniem jest tu ochrona ludzkiego życia od chwili poczęcia (zob. artykuły A. Grześkowiak i K. Wiaka), uznanie szczególnego statusu rodziny w społeczeństwie i idąca w ślad za tym polityka respektująca jej tożsamość i podmiotowość (R. Buttiglione), czego wyrazem jest między innymi ochrona macierzyństwa oraz konieczność reformy kodeksu pracy w kierunku bardziej prorodzinnym (T. Liszcz). To niektóre tylko punkty niezbędnego „programu naprawczego” w dziedzinie sytuacji ludnościowej Polski, Europy i świata. Chodzi o uratowanie „środowiska ludzkiego”, o skuteczną ochronę „warunków moralnych prawdziwej «ekologii ludzkiej»” (*Centesimus annus*, nr 38).

Jak dotąd bowiem wciąż jeszcze – pomimo spektakularnego upadku systemów totalitarnych w wielu krajach – żyjemy w epoce kolektywizmu. Wszak to przecież już w wolnej Polsce użyto sformułowania „zwyciężyły wartości nadrzędne” w odniesieniu do kompromisowej ustawy dotyczącej ochrony życia dziecka nienarodzonego, wyjmującej spod prawnej ochrony niektóre kategorie nienarodzonych ludzi. „Wartości nadrzędne” – w stosunku do czego: wartości ludzkiego życia? A przecież ten sam argument o „wartościach nadrzędnych” można było usłyszeć na przykład podczas konferencji ludnościowej ONZ w Kairze w 1994 roku, kiedy to większość delegatów podejmowała proaborcyjne, antynatalistyczne rezolucje w obawie przed tym, iż jest – czy też: będzie – nas zbyt wielu. Zastanawiający jest przy tym fakt, że najbardziej czynni w tej z gruntu kolektywistycznej argumentacji byli przedstawiciele państw, które szczycą się swoimi liberalnymi (a więc indywidualistycznymi) korzeniami. Tu właśnie dostrzegamy wielką szansę personalizmu: ani *i n d y w i d u a l i z m*, ani *k o l e k t y w i z m*, ale *a n t r o p o l o g i a* *p e r s o n a l i s t y c z n a* – antropologia *o s o b y* *w e* *w s p ó l n o c i e* *o s ó b* – stwarza niezbędne przesłanki do adekwatnej odpowiedzi na problemy ludnościowe współczesnego świata.

Znany polski teolog moralista, ks. Janusz Nagórny, opatrzył publikowany poniżej artykuł tytułem-tezą: „kryzys demograficzny kryzysem wiary człowieka w przyszłość”. Istotnie, człowiek lęka się dziś przyszłości. Korzeniem tego kryzysu jest brak wiary w to, że każdy z nas, będąc *j e d n y m* *s p o ś r ó d* *w i e l u* – jakże pod wieloma względami podobnym do każdego z nich – jest zarazem *k i m ś* *j e d y n y m*, niepowtarzalnym podmiotem; „*sui iuris, alteri incommunicabilis*” – jak powiadał św. Tomasz z Akwinu.

Fakt, iż obecnie – kiedy jest nas trzydzieści osiem milionów w Polsce i sześć miliardów na całym globie – aktualna jest pokusa, aby ludnościowe problemy świata traktować w sposób instrumentalny, odczytujemy jako „znak czasu”, objawiający pilną potrzebę przypominania, że wszędzie tam, gdzie mówi się o „wielu”, o „wszystkich” – mówi się zarazem o „każdym” spośród nich. Jednym spośród wielu i zarazem – jedynym.

C.R.